

Moje święte sosny

Wiele miast ma swoje zielone tereny, mało jest jednak takich, w którego granicach są prawdziwe lasy. W rodzinnym Toruniu i jego okolicach lasów jest bardzo niewiele. Po lewej stronie Wisły, w stronę Włocławka jest ich sporo, po prawej zajmują zaledwie niewielki trójkąt pomiędzy drogami do Bydgoszczy i Chełmna.

Do zabytkowej Starówki mojego miasta były niespełna dwa kilometry, a jednak miejsce, w którym spędziłem dzieciństwo, otaczał wówczas niewielki, ale prawdziwy las. Kilku i kilkunastoletniemu chłopcu z perspektywy jego wzrostu ta zielona plama na mapie miasta wydawała się nieomal pierwotną puszcza.

Po latach miasto się rozrosło i „puszcza” zmieniła się w zaledwie niewielki podmiejski las, sosnowy park miejski. Jednak pomimo upływu lat niewiele się zmienił. Do dziś rosną w nim krępe, zdrowe, powyginane sosny i zdaje się, że przez kilkadziesiąt lat niewiele urosły. To wśród nich ojciec wioził na rowerze trzech swoich synów do przedszkola: jednego na kierownicy, drugiego na ramie, trzeciego na bagażniku. Miałem wówczas trzy, może cztery lata...

Niezwykłe doświadczenie przebywania wśród drzew, zauroczenie sosnami i lasem w ogóle miało mnie już nigdy nie opuścić. Razem z trzema braćmi i kuzynem bez trudu znajdowaliśmy w swoim lesie wszystko to, co potrzebne jest dziecku do zabaw. Bawiliśmy się pod sosnami, na sosnach i pewnie wchodzilibyśmy też do lisich czy borsucznych nor, gdyby one tam były.

Całe nasze dzieciństwo było nieustannym przemieszczaniem się we wszystkie strony pośród kilku zaledwie hektarów, toteż gdy nastąpił czas pójścia każdego z nas swoimi drogami, mogliśmy się chwalić, że znamy w tym lesie każde drzewo. Prawie codziennym świadectwem tego „procesu poznawczego” były poobcierane kończyny i podarte na sękach portki, a zimą - guzy na głowie, gdy źle kierowane sanki zderzały się z sosnowymi przeszkodami. Tak więc, doznawaliśmy

licznych urazów w kontaktach z sosnami, ale nie przypominam sobie, byśmy złamali jakąkolwiek gałąź, okaleczyli jakiekolwiek drzewo. Bawiliśmy się w podchody i wspinaczki, nieustannie toczyliśmy istne bitwy na sosnowe szyszki. Za koszulą, w butach i kieszeniach mieliśmy tyle sosnowych szyszek i igieł, że gdy pojawialiśmy się w domu, to jakbyśmy przynosili z sobą część lasu.

Na skraju tego lasu była ślepa uliczka. Na jej końcu stacjonowały cygańskie tabory, takie prawdziwe, z końmi i wielkimi budami wozów. Gdy jeden tabor odjeżdżał, zaraz drugi pojawiał się w jego miejsce. Nie zaglądaliśmy tam jednak, nie mieliśmy w sobie jakoś ciekawości romskiego stylu życia, nade wszystko przyciągały nas tajemnice sosnowego lasu. Wzdłuż tej ślepej uliczki był rząd latarni. Gdy przychodziła późna jesień, a po niej zima, bywało, że wcześniej zapadający zmierzch zastawał nas w lesie. Widywaliśmy wówczas pewnego pana, który najpierw odkręcał na dole latarni jakąś klapkę, później coś przekręcał, a następnie na długim patyku niósł na górę ogień.

Wielokrotnie wracaliśmy do domu z tym ciepłym ogniem, z tą jasnością gazowych latarni, by do snu posłuchać czytanych nam przez rodziców „Baśni” Andersena... Zdarzało się, że właśnie padał śnieg i już nie wiadomo było, ile w tym wszystkim było realności, a ile baśni... Nigdy nie zapomnę widoku tych sosen oświetlonych światłem gazowych latarni. Takie było to moje, nasze, latarniano – sosnowe dzieciństwo.

Zaraz po szkole podstawowej postanowiłem pójść do szkoły leśnej. Marzyłem sobie wówczas, że będę nieustannie niósł to światło, ten ogień, te uczucia sosnowego lasu aż do własnej leśniczówki i będę w niej zapalał co noc naftową lampę, by przy niej rysować, malować i pisać wiersze.

Okazało się, że nie miałem najmniejszego pojęcia, na czym polega praca leśnika i jego codzienność w lesie. Przekonałem się o tym już na początku szkoły, gdy na leśnych praktykach otrzymałem do rąk „narzędzia badawcze” w postaci ręcznej piły i siekiery. Nie robiąc samemu sobie krzywdy miałem ją czynić swoim ukochanym sosnom, zabijając je najpierw, następnie usuwając im siekierą kończyny, pozbawiając ukoronowanej głowy i na samym końcu układając w metrowe „kubiki”.

Nie ukończywszy z różnych powodów szkoły leśnej na powrót znalazłem się w rodzinnym mieście. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że kocham to swoje sosnowe biurko, tę w nim sosnową szufladę, do której składałem swe pierwsze, nieporadne wiersze i że to może właśnie ja ściałem sosnę, z której ten mebel wykonano; może kartka papieru, którą właśnie włożyłem do szuflady, zawiera włókna jednej ze ściętych przeze mnie sosen; może rama, na którą naciągnięto płótno do malowania była z niej...?

Myślałem o tym, że pisząc także dzięki niej może sprawiam, iż ona wcale nie umarła, a jedynie zamieniła się w wiersz, bo przecież jedna czy druga sosna to tak naprawdę jeden czy drugi wiersz, las to tomik wierszy, a puszcza to cała ich biblioteka!

Chyba wówczas zrozumiałem, że można kochać las, kochać sosny, także w każdym sprzęcie wykonanym z drewna na ludzki pożytek. Sosnowa kołyska, sosnowe drzwi, okna, schody, skrzynka, sosnowa rama do obrazu, łopatka do mieszania w garnku, sosnowa laska i sosnowa trumna...

Sosny! Wyniosłe, z długimi prostymi pniami i niewielką koroną, albo inne: z nielicznymi konarami przez wiatr uformowanymi w jedną stronę lub krępe, rozrośnięte wszere, fantastycznie powyginane, jak na obrazach Iwana Szyszkina. Tylko on umiał tak je malować! Potrafił namalować zaledwie fragment pnia, ale tak, że złuszcza się z niego na podłogę kora i cały obraz pachnie, lepi się od żywicy!

Warto położyć się pod sosną, by spojrzeć w górę, by wspiać się, kluczyć pomiędzy załomami ciemnobrązowej, czasem wręcz czarnej kory jakby po łuskach jakiegoś archaicznego zwierzęcia, przedzierać się pomiędzy płatkami łuszczącej się kory barwy bursztynu, by zakończyć ukołysaniem oczu przez koronę i niebo. W taki czas zapomina się, że ma się gdzieś inne, codzienne wspinaczki i inny dach nad głową.

Najpiękniejsze sosny widziałem nad jeziorem Ciche na Pojezierzu Brodnickim i na Białostoczczyźnie.

Nad Cichym sosny mają grubo ponad 100 lat. Rosną tuż nad brzegiem jeziora, wśród znacznie mniejszych od siebie dębów, olch i z rzadka brzoź. Są dosłownie i w przenośni wpite korzeniami aż po podziemne jezioro, uczeplone stromej skarpy, rozczapierzone w niebo konarami, z których każdy mógłby być samodzielny, potężnym drzewem. Kilka sosen nie wytrzymało brzemienia czasu i tylko jezioro pamięta, jak dawno temu zwały się w wodę. Bardzo możliwe, że stało się tak za sprawą wiatru, ale prawdopodobne jest i to, że na którymś z konarów od strony jeziora usiadł ptak albo motyl i wtedy sędziwym drzewem zachwiało, olbrzym tylko sapnął i runął do jeziora. Te potężne drzewa, oblewane przez fale, zanurzone w nieustającej wilgoci, skuwane mrozem, smagane bryzą, palone słońcem, ubielone porannymi mgłami, utraciwszy korę stały się niemal białe. Widoczne z przeciwległych brzegów są jak światło jeziornej latarni. Dziś są naturalnym pomostem dla wędkarzy, samotników, dla ptaków i ... ciszy, która lubi usiąść sobie na samym końcu i wypatrywać echa.

Największą powaloną sosnę widziałem w Puszczy Białowieskiej. Ten olbrzymi pomnik przyrody pokazał mi Leszek Wilczek, jeden z najzbieleńszych ludzi, jakich w życiu poznałem, związany z nieżyjącą już, niestety, Simoną Kossak. Jako że sosna zwała się na drogę, jej korona została już odsunięta na bok. Zdetronizowana królowa pachniała najprzedniejszym z monarszych zapachów: drewnem, żywicą, całą historią tego kawałka puszczy, z którego wyżyn niegdyś patrzyła na swoich poddanych. A teraz spotykał nas nieuprawniony zaszczyt wstępowania w komnaty zastrzeżone dotychczas tylko dla nieba, wiatru, owadów, ptaków...

Prawdopodobną przyczyną przedwczesnej śmierci tego olbrzyma były wycinki drzew, które sprawiły, że nie miała już naturalnej osłony przed działaniem silnych wiatrów. Taki sam los czeka zapewne i inne olbrzymy w okolicy, czego symptomem były wybrzuszenia ściółki wokół korzeni.

Widok powalonej umarłej sosny jednak Leszka nie przygnębiał. Zwrócił uwagę na małe siewki, w których zielone źrenice już wpadały świetlne promienie, pokazywał budzące się już to i owo, które na tej śmierci, prawie zaraz, już następnym życiem wypełniało zaistniałą pustkę.

Równie potężna sosna rośnie w połowie drogi z Janowa koło Narewki do Białowieży. O pyszałku mówi się, że „zadiera wysoko głowę”. Żeby zobaczyć wierzchołek tego olbrzymiego drzewa, trzeba zadrzeć głowę aż do nieba. A potem tylko głupiec pozostanie nadal pyszałkiem.

Jedne z najpiękniejszych sosen, jakie widziałem, rosną po obu stronach szosy z Bryzgia do Gawrych Rudy nad jeziorem Wigry. Podczas lata 2012 burze następowały jedna po drugiej i z nagrzanego lasu powstawały tumany mgieł. Nagle zza ciemnych chmur wystrzeliwały skośnie w las złociste smugi, prosto w sosny, zapalając je jak krwistopomarańczowe żagwie.

Równie piękne sosny można spotkać na całym Podlasiu, a w każdym jego regionie są tak od siebie różne, jak różny dla nich smak ma ziemia, na której rosną. W rejonie Biebrzy są krępe, niewysokie, z grubymi pniami i gęstymi koronami, kształtem zbliżonym do poziomego owalu i rosną wszerz, podczas gdy w Puszczy Knyszyńskiej korony wieńczą nieprawdopodobnie proste, długie pnie prawie bez gałęzi.

Wszystkie drzewa są cudem nad cudami i wszystkie kocham, ale sosny zawsze były i są mi najbliższe. Pospolite drzewa, rosnące byle gdzie: na piasku, na torfowiskach, w miejskich parkach, w puszczach. Ich siewki spotkasz w załomach muru, na omszałych kamieniach, a zdarzyło mi się nawet ujrzeć sosnowe maleństwo na ławeczce łodzi przycumowanej u brzegu leśnego jeziora.

Oświetlone sosny dają ciepło, nieoświetlone – kryją w sobie tajemnicę. Oto, gdy następuje świt, sosny stają się samym świtem, a gdy słońce zachodzi, są jego zachodem. Pierwsze poranne promienie sprawiają, że górna część sosnowego pnia nabiera koloru bursztynu, a ostatnie promienie przydają im purpury, szkarłatu, wszelkich odmian czerwieni lub pomarańczy.

Nieraz wystarcza jeden snop światła, by pień zapalił się jak paschał w kościele, a wiele takich wypuszczonych przez Stwórcę strzał, jest jakby dziesiątkami, setkami świec w świątyni! Może to właśnie dlatego ludzie otaczali sosnę kultem, dostrzegali w niej świętość...?

Wszystkie sosny są cudem nad cudami i gdyby ktoś mnie spytał o synonim słowa „cud”, bez wahania odpowiedziałbym: „sosna”.

*

Tradycyjnemu poecie, który stosuje w wierszach rymy, ciężko jest pisać o sosnach. Oto bowiem ma do dyspozycji rymy takie, jak: sosna – radosna, sosna – miłosna, sosna – wiosna, sosna – zazdrosna, ale są one już tak wyświechtane, tak wysłużone, że wyrobiony czytelnik napotkawszy je, nawet nie zechce zajrzeć w głąb tomiku uznając, że jego zawartość jest dziełem lichego poety. Od biedy może jeszcze coś sklecić z rzadszymi rymami, takimi jak sosna – krosna, sosna – rzeka Proсна, ale każdy znający się na poezji wie, że byłyby to rymy wymęczone, sztuczne. O sosnach jest więc pisać bardzo trudno.

Tymczasem każdy poeta przyrody ilekroć bywa wśród sosen, ilekroć je widzi, choćby i w podróży, nie może przestać o nich pisać...

Wiersze o lesie, o sosnach

Gdybym potrafił i mógł tu
w pozłocie, zieleni, brązach,
tysiące omszałych duktów
w jedno naręcze bym związał.

Na jednej kartce z zeszytu
spróbował, połówką tonu,
upleść warkocze z prześwitów,
snuć nić z oprzędu kokonu.

Wers bym spróbował opasać,
opleść, choć jego ćwiartkę.
Ją wziąłbym z sobą i w lasach
pustą zostawiłbym kartkę.

By ją pisało mrowisko,
na gniazdo ją przeżuł szerszeń,
by czas, gdy już zrobił wszystko
zdmuchiwał z drzew moje wiersze.

Mgła i echo

W pięknie takim, w ciszy że aż woda cierpnie,
jestem nad jeziorkiem, późnym dniem i sierpniem.

Trzy sosny nad brzegiem ku toni się chylą,
a pajak most przedzie; dąb - to pierwszy pylon.

Już drugi zobaczył, już się go uchwycił;
do zachodu słońca już przykleja nici.

Ani ryby w wodzie, ani w niebie ptaka,
mgielka jeszcze dzieckiem, rodzajem nijaka...

Mgła się nagle staje, jak spełniona miłość.
Nie wiadomo jak to i co tak sprawiło.

Wyspa pływająca wpół rejsu przystaje,
a ja, w ciszy swojej, we mchowym *foyer*...

W domu z trzcin i zaraz, pod gwieździstą strzechą,
sam czekam aż znikąd potoczy się echo...

Mgnienie powiek pierwsze, następne, trzydzieste...
I wreszcie jego tchnieenieeeeem:
„Jestem...
tem...
em...”

W las...

W oparach mgieł nieznane
Snują się mgły w mych krokach
Idę w las wczesnym ranem
Nie spuszczam ranka z oka

W las. Zgubić w sobie zwierza
Za łązy mieć i mgłę i rosę
Zdążać, wędrować, zmierzać
W las, aż po czuby sosen

Tu jestem. Siadam, piszę
W mrówczą spoglądam trasę
Pośród sosnowych szyszek
Które już zaraz lasem

Cieniu...

Cieniu żywiczny spod sosny
Spod leszczyny orzechowy
Spod trawy, cieniu jak kosmyk
Zielony raz, a raz płowy

Cienie przeciw gorączce
Napotne, gdzie krzew maliny
Z trzcin, topól, cienie szemrzące
Z szemranej swej przyczyny

Cieniu spod lipy miodowy
Na lipca po pracy fiestę
Cieniu raz taki, raz owy
Cieniu mój, jaki ty jesteś...?

Porady

Na starej sośnie cień zachwyca.
To z drzewa cieni tak żywica...

Zdrap ptasim piórkiem trochę cieni,
Będzie się cień w słoiku mienił.

I jeszcze dłonią zapach nawiej,
Ten, co jest w brzozie, we mchu, w trawie.

A jak koloru ci potrzeba,
Weź go z motyla, z rosy, z drzewa...

Posmakuj woni, smakuj zapach,
Co na przyrody ścieżkach, mapach...

Posmakuj woń kocanki z piasku
I skosztuj z ważki nieco blasku.

Opuszkam palców zmroku dotknij,
Stań się świetlikiem wśród paprotni.

Wchłoń w siebie wiatr otchłannym wdechem,
O ściany lasu zadzwoń echem.

Z poranka upij mgiełki nieco,
A szybciej smugi dnia się zlecą.

Po burzy śmiało wejdź w kałużę,
Pozostań w niej o chwilę dłużej.

Zmarszczy cię wiatr, spopieli obłok,
Śmierć cię nie pozna; przejdzie obok...

Łagodnia

Gdzie widnokrąg tak się zaczyna jak kończy- tam właśnie,
Tam, gdzie ostatnia barwa łąki ledwo smużką gaśnie,
Grzbiet lasu w dali jest zaledwie i tylko domysłem,
Wierzba przy kapliczce, w niej diabeł, a w kapliczce -
Chryste.

Gdzie puszcza tajemna i łąka rozedrgana życiem,
Sosna niebo wskazująca czarnym ptakiem na szczycie,
Rzeka jak dziecko nieprzewidywalna, oczko wodne,
Mgnienia na nim ni stąd ni zowąd, z toni żyworodne.

Kamień jaszczurczy w środku pola: świadek i spoczynek,
Gniazdo na chałupie bocianie, a w nim pięć jedynek,
Tam, gdzie mgła jest zmysleniem, samym wydechem się
jawi,
I jest echem samym w sobie, z klangorem żurawim.

Gdy znad obrusa grzybem pachnie, a spod niego sianem,
Gdy pola całe w dmuchawcach jak zamiecią zawiane;
Gile jak jabłka na choince, ozdoby z tarniny...
To i więcej z wielością skutków, bez jednej przyczyny.

I gdzie okno, a za szybą z żurawiną słój wielki,
W głębi babcia w chuście, piec biały i w kwiaty kafelki.
A przed strzechą bez się lili, łan maków jak pochodnia.
Także, gdy sypią się z nieba ziarna szpaków. Łagodnia...

Znak

Na sośnie gniazdo krucze.
Do krucząt w czerń zakraczę,
Wśród cieni drzew pokluczę,
Niż sobą, lasem raczej.

Zobaczę niewidoczne,
Usłyszę co bezgłośnie,
Przycupnę w dziupli mrocznej,
Dam serce starej sośnie.

Gdy wniknę w nią miłośnie,
Gdy moje dni się zlesią,
Przybędzie słojów sośnie
O ponad kilkadziesiąt...

Będziemy jądrem kniei,
Dla echa, mgły i ptaków...
O Gloria, Gloria Dei!
I tylko czekam znaku...

Lasy bezkresne

Lasy bezkresne, księżycowe!
Mgielne, słoneczne, takie, owe...
Konkretne: sosna, dąb i brzoza.
Poezja w duktach, w drwalu – proza.

Lasy kochane! Rozśpiewane!
Nocą huczące, trelne ranem.
Skrzypiące wichrem w smętu nutę,
Szyszkami trzeszczące pod butem.

Cudne o każdej porze roku!
W zmiennej palecie – stały spokój.
Wszystko tu proste, wszystko pewne.
Pion jest tu drzewem, poziom – drewnem.
Życia i śmierci zmienność prosta:
Dziś stoi, jutro – leży sosna.
Na katafalku swych igliwi,
Martwa, następne byty żywi.

Mikro i makro; mały, wielki,
Im-, i eks – płoża istnień wszelkich!
Big – bang w noc jedną; głuchy wybuch:
Las kapelusi się od grzybów.

Jedność, harmonię, ład, prostotę,
Osrebrza zimą, w jesień – złotem.
Las, obojętnie! – wiosną, latem...
Jest przyjacielem mi i bratem.

Zastygł las

Jeszcze cień nie zdążył się zwinąć
W rulon kory, w owal nory lisiej,
Jeszcze trawa ciekła wilczą śliną,
Promień słońca, choć już przepadł, tlił się.

Jeszcze zapach nie zdążył się wśliznąć,
W sam dech lasu i w tajemni głębie;
Ruch się jeszcze nie zasklepił blizną,
Drżał listeczkami na brzozie i dębie...

Ptak nie zdążył jeszcze zamknąć dzioba,
Grzyb odnaleźć więcej miejsca w runie,
Dudek sobie samemu spodobać,
Pająk brzdęknąć komarem na strunie.

Jeszcze we mchu zdumiona stonoga,
Nogi unieść nie zdążyła jednej;
Szpon bielika jeszcze tkwił w ostrogach,
Zastygł słuch na sarniej straży przedniej...

Gdy ja wszedłem do tej swojej puszczy,
W ten swój las, który na mnie czekał,
Z sosny płatek bursztynem się złuszczył...
Coś mnie tchnęło. To... boża powieka.

Świsłocka noc

Dnia powieki wolno spadają,
rzęsy jego już bliskie runa.
Do sypialni już zmierza pajak,
srebrne oko już puszcza luna.

Idę tropem jakiegoś zwierza.
On podąża za moim śladem.
Idę, staję i nie dowierzam,
prócz mojego, głos znikąd żaden.

Lecz nie jestem pniem ani głuszcem.
Żaden głos, choćby nutka licha?
Gdym zamienił się w słuch i w puszcze,
usłyszałem jak las oddychał.

I poszedłem tym tchem, tym tropem,
w skłonach trawy, po locie ptaka
i doszedłem do kilku kropel,
które dzień, odchodząc, wypłakał.

W każdej było moje odbicie,
w księżycowej i własnej pełni.
Gdy spadł deszcz majowy, jak chrzciciel,
jedność moją z puszczą wypełnił.

I gdy księżyc, na czubku drzewa
chmurą skryty zapadł się w nockę,
nikt wśród lasu nie podejrzewał,
że przepadnę w Puszczy Świsłockiej...